



Ponad

# W tym momencie

czasem 2

Gabrielle Meyer

d





**W tym  
momencie**

**Gabrielle Meyer**

TLUMACZYŁA ANNA PLIŚ

**Tytuł oryginału:**

*In This Moment* (Timeless #2)

**Autor:**

Gabrielle Meyer

**Tłumaczenie z języka angielskiego:**

Anna Pliś

**Redakcja:**

Ewa Hoffmann-Skibińska

**Korekta:**

Dominika Wilk

**Skład i opracowanie graficzne:**

Anna Brodziak

ISBN 978-83-66977-96-9

Projekt okładki: Jennifer Parker

Zdjęcia na okładce: © Richard Jenkins

Chandler Cruttenden / Unsplash.com

Andrew Palmer / Unsplash.com

Photoholic / Unsplash.com

wirestock / Freepik.com

myriammira / Freepik.com

© 2023 by Gabrielle Meyer by Bethany House Publishers,  
a division of Baker Publishing Group, Grand Rapids, Michigan, 49516, U.S.A.

© 2024 for the Polish edition by Dreams Wydawnictwo

Dreams Wydawnictwo Lidia Miś-Nowak

ul. Unii Lubelskiej 6A, 35-016 Rzeszów

[www.dreamswydawnictwo.pl](http://www.dreamswydawnictwo.pl)

Rzeszów 2024, wydanie I

Druk: Drukarnia Normex

Jeśli nie zaznaczono inaczej, wszystkie cytaty pochodzą z Biblii Tysiąclecia.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana, przechowywana jako źródło danych, przekazywana w jakiegokolwiek mechanicznej, elektronicznej lub innej formie zapisu bez pisemnej zgody wydawcy.

*Moim rodzicom, George'owi i Cathy VanRisseghemom.  
Wasza wiara w Chrystusa i wiara we mnie  
to dwa największe dary, jakie kiedykolwiek otrzymałam.  
Dziękuję za wszystko.  
Kocham Was.*

*Niech zaś dla was, umiłowani, nie będzie tajne to jedno, że jeden dzień u Pana jest jak tysiąc lat, a tysiąc lat jak jeden dzień.*

2 P 3, 8

# Rozdział 1



WASZYNGTON  
18 KWIETNIA 1861

Zazwyczaj dobrze mi szło udawanie, że moje życie jest normalne. Byłam dwudziestolatką szukającą swojego miejsca w świecie i starającą się zdecydować o swojej przyszłości. Jedyna różnica polegała na tym, że prowadziłam trzy takie normalne życia, a moje dwudzieste pierwsze urodziny, od których dzieliło mnie zaledwie osiem i pół miesiąca, to czas, gdy podejmę decyzję, które zachowam, a które porzucę. Na zawsze.

Kiedy tak stałam w swoim domu przy Lafayette Square, zakładając długie, satynowe rękawiczki, wolałam nie myśleć o przerażającym wyborze, który mnie czekał, ani o swoich pozostałych życiach. Stałam się mistrzem życia w tym momencie – to umiejętność, którą wielu ludzi chciałoby posiadać, mnie zaś wiele ona kosztowała.

Tutaj byłam córką ważnego senatora Stanów Zjednoczonych, pełniącą od czasu, gdy zmarła moja matka, rolę oficjalnej pani domu. Znajdowaliśmy się też u progu wojny secesyjnej.

Jednak w tej chwili byliśmy po prostu spóźnieni do Białego Domu.

– Papo – zawołałam z holu, kiedy Saphira, moja pokojówka, podała mi drugą rękawiczkę. – Pani Lincoln nie lubi, gdy się spóźniamy.

Papa w końcu wyszedł z gabinetu i dołączył do mnie, również zakładając rękawiczki.

– Jestem zaskoczony, że tego nie odwołała – oświadczył, a jego zwykłą pogodę ducha zgasiły napięcia minionego tygodnia.

– Całe życie czekała na to, żeby się znaleźć w Białym Domu – przypomniałam mu, wiedząc, jak bardzo Mary Todd Lincoln cieszyła się z tego, że jest pierwszą damą. – Nie mogłaby pozwolić, by coś tak błahego, jak wojna, popsulo jej plany.

Papa uśmiechnął się pierwszy raz od wielu dni.

– Przepraszam, że się spóźniłem, Margaret. Jestem rozkojarzony. – Przyjął pelerynę z rąk Josepha, naszego kamerdynera, pełniącego też wszystkie inne funkcje. W zmarszczonych dostojnych brwiach papy widziałam poruszenie i troskę. Podejrzewałam, że powodem spóźnienia jest coś więcej niż rozkojarzenie.

– Czy coś się stało? – zapytałam.

Papa starał się zetrzeć wyraz zmartwienia z twarzy.

– Nic, czym miałabyś się troskać, moja droga. To tylko praca.

– Odkąd jesteś jednym z doradców prezydenta Lincoln, praca to już nie tylko praca.

Saphira okryła moje ramiona niebieską aksamitną peleryną, ale ja nie spuszczałam wzroku z papy. Nigdy nie miałam trudności z odczytaniem jego nastrojów. Dawniej był ministrem i wojskowym, więc potrafił zachować pewność siebie i trzymać się celu. Teraz został senatorem i zaufaną osobą prezydenta. Ale jeszcze nigdy nie widziałam u niego tak zgarbionych ramion i twarzy wypełnionej żalem.

– Nie chciałbym popsuć ci tego wieczoru. – Położył dłoń na moich plecach i powiódł mnie w kierunku głównych drzwi. – Powóz czeka. To miało być miłe przyjęcie.

Skinął głową w stronę Josepha, żeby otworzył mu drzwi. Na zewnątrz panował ponury wieczór. Przez cały dzień było zimno i posepnie, a deszcz kapał nieustannie na dach naszego domu i zmieniał ulice w błotnistą maź.

– Nie musisz mnie chronić przed prawdą – powiedziałam, zakładając kaptur peleryny, by osłonić misterną fryzurę, którą z moich ciemnobrązowych włosów uplotły utalentowane dłonie Saphiry.

– Masz rację – zgodził się, posyłając mi pojednawczy uśmiech. – Ale to mój problem, nie twój.

Pomimo że Joseph rozłożył nad moją głowę parasol, poczułam na twarzy wilgoć mżawki. On i Saphira należeli do trójki służących, których zatrudniliśmy po przybyciu do stolicy. Mieszkałiśmy w Waszyngtonie od pięciu miesięcy, ale szybko się przyzwyczaiłam do tego miejsca, bo żyłam tu też w 2001 roku. Sporo się zmieniło, choć wiele rzeczy pozostało takich samych. Życie tutaj było lepsze niż na dzikich ostępach Salem w stanie Oregon, dokąd przeprowadziliśmy się z papą w ubiegłym roku, żeby stamtąd kandydować do Senatu.

Deszcz rozbryzgiwał wokół błoto i sprawiał, że biały tynk pobliskiego kościoła Świętego Jana wyglądał, jakby płakał. Zakasałam jedwabną spódnicę z nadzieją, że jej nie ubłocę, a papa podał mi ramię, prowadząc mnie do powozu.

Stangret zeskoczył z kozła i otworzył boczne drzwi. Skorzystałam z jego pomocy i wsiałam do powozu, po czym zaczęłam układać wokół siebie obszerny dół sukni. Szerokość modnych krynolin stawała się wręcz przesadna, szczególnie tu w Waszyngtonie, podobnie jak większość rzeczy w wyższych sferach waszyngtońskiej socjety. Nie umiałabym sobie nawet wyobrazić, co moi koledzy ze studiów, odbywający ze mną praktyki w Szpitalu Uniwersyteckim Georgetown w 2001 roku, powiedzieliby na taki ubiór, jaki nosiłam w 1861. Wzdrygnęłam się na myśl,

że miałabym wejść na oddział ratunkowy w kryolinie i jedwabnej sukni.

Papa usiadł naprzeciwko mnie, a Joseph zamknął drzwi powozu i ruszyliśmy w kierunku Białego Domu. Gdyby nie padało, pewnie poszlibyśmy na piechotę, ale zalegało tyle błota, że zanim byśmy dotarli na miejsce, nasze buty i ubiór byłyby do niczego.

– Cóż za utrapienie z tym deszczem – rzucił papa, starając się zmienić temat, ale wciąż widziałam w jego oczach troskę.

Pochyliłam się do przodu i położyłam dłoń na jego kolanie.

– Możesz mi zaufać, papo. Co cię trapi?

Nic z tego, co mógłby mi powiedzieć, nie mogło mną wstrząsnąć ani mnie zdziwić. Wiedziałam więcej niż on na temat nadciągającej wojny – rzeczy, których on nawet sobie nie wyobrażał – ponieważ żyłam też w 1941 i 2001 roku. Kiedy zasypiałam tutaj, budziłam się w 1941, a potem kolejnego dnia w 2001, a gdy mnie nie było, czas tutaj się dla mnie zatrzymywał. Wiedziałam, jak się potoczą przyszłe losy Ameryki.

Żałowałam jedynie, że nie wiem, jak się potoczą moje własne.

Chciałam powiedzieć papie, że nasz naród przetrwa, choć cena będzie ogromna i stracimy naszego ukochanego przyjaciela i prezydenta. Ale on nie wiedział, że przenoszę się w czasie, i mógłby tego nie zrozumieć. Poza tym nie chciałam ryzykować, że zmienię bieg historii przez to, że wyznam mu prawdę.

Musiał dostrzec determinację malującą się na mojej twarzy, bo odrzekł:

– Coraz bardziej oczywiste staje się, że w Waszyngtonie działają szpiegzy przekazujący informacje Jeffersonowi Davisowi w Richmond, a my nie mamy pojęcia, kim są i jak ich znaleźć. Tak naprawdę nie da się opracować strategii, gdy nie wiemy, kto wynosi nasze plany na Południe. Teraz, kiedy Wirginia wystąpiła z Unii, ryzyko jest jeszcze większe.

Wojna zaprzętała umysły wszystkich od wielu miesięcy, ale w tym tygodniu było inaczej. Sześć dni temu żołnierze Konfederacji ostrzelali Fort Sumter w Karolinie Południowej, trzy dni temu prezydent Lincoln wezwał siedemdziesiąt pięć tysięcy ochotników do stawienia się w obronie Unii, a wczoraj Wirginia opowiedziała się po stronie Południa. Wiedzieliśmy, że tak się stanie, ale to wydarzenie najwyraźniej przelało czarę goryczy. Wirginia znajdowała się po drugiej stronie rzeki Potomac, blisko Waszyngtonu i w każdym momencie mieszkańcy tego stanu mogli przekroczyć rzekę i podbić naszą bezbronną stolicę. Ponieważ prezydenta chroniła tylko garstka żołnierzy, konfederaci z łatwością mogli wygrać wojnę, zanim by się w ogóle zaczęła.

Papa położył dłoń na mojej dłoni i lekko ją ścisnął.

– Widzę, że te wieści cię przygnębiają. Wyrzuć je z głowy, Margaret. Nie tobie nosić te ciężary.

– Nie są bardziej przygnębiające niż inne nowiny tego tygodnia. – Za oknami powozu widzieliśmy już Biały Dom, który jaśniał niczym niosąca nadzieję latarnia morska pośród burzowych chmur. Jeśli miałam się czegoś dowiedzieć od papy, musiałam działać szybko. – Czy wiemy, skąd szpiegzy biorą informacje? Są w Białym Domu? W Kongresie? Czy to możliwe, żeby któryś z nich pojawił się dziś na przyjęciu?

– Obawiam się, że to całkiem możliwe, ale nie chciałbym, żebyś się martwiła.

– Jakże mogłabym się nie martwić? A co, jeśli nieumyślnie przekazę informacje niewłaściwej osobie?

– Nie wiesz nic, czego nie powinnaś wiedzieć. Poza tym, jak już powiedziałem, to mój problem, nie twój. – Wpatrywał się we mnie przez chwilę, opuszczając głowę, żeby mi spojrzeć w oczy. – Nie odpuścisz, prawda?

Nachyliłam się w jego stronę, a na moich ustach igrał uśmiech. Wiedziałam, że dołeczki zmiękczą jego determinację.

– Mogę pomóc. Mam znajomości, pa...  
– Nie.  
– Jeśli szpieczy są w naszych kręgach towarzyskich, mogę ich odnaleźć.  
– To zbyt niebezpieczne. Ci szpieczy ryzykują własnym życiem, więc nie będą się wahać przed odebraniem twojego. Nie masz pojęcia o szpiegostwie.  
– Większość ludzi szpiegujących na wojnie nie ma pojęcia o szpiegostwie. – Nachyliłam się jeszcze bliżej i czułam już, jak ścisła mnie gorset. – A ty jak podejrzewasz? Skąd szpieczy z Południa biorą informacje?  
Westchnął. Już kiedyś miał do czynienia z moją silną wolą i wiedział, że ja się nie poddam.  
– Nie wiem, czy zbierają wiadomości tam, gdzie pracują, czy czerpią je z kontaktów towarzyskich. Wiemy tylko, że przekazują istotne informacje, które posiadają jedynie ludzie będący w najbliższym otoczeniu prezydenta. Zatem działają na samej górze.  
Powóz zwolnił i zatrzymał się przed głównym wejściem do Białego Domu. Po chwili zakołysał się, gdy stangret zsiadł. W głowie kotłowały mi różne możliwości dotyczące tego, kto mógłby szpiegować prezydenta i jego gabinet. Czy znałam tych ludzi? Czy to ktoś mi bliski? Czy usiądzie obok mnie na dzisiejszej kolacji?  
Stangret otworzył drzwi i papa wysiadł. Sprawiał wrażenie, jakby mu ulżyło, że rozmowa dobiegła końca. Wyciągnął rękę w moją stronę i skorzystałam z jego pomocy przy wysiadaniu z powozu stojącego przed szerokim portykiem Białego Domu.  
Kiedy poprawiłam dół sukni, papa podał mi ramię.  
– Zapomnij o wszystkim, co mówiłem, Margaret.  
Nie potrafiłabym. Jeśli w kręgach, w których się obracałam, działali szpieczy, musiałam zachować ostrożność.

– Nie patrz takim poważnym wzrokiem. – Papa uniósł mi podbródek dłonią odzianą w rękawiczkę. – Jeśli nam się poszczęści i wszechmocny Bóg obdarzy nas łaskami, wojna skończy się, zanim się zacznie. Każdy wie, że Południe blefuje, i gdy tylko zaczną się walki, szybko zdadzą sobie sprawę, że my nie żartujemy. Pójdą po rozum do głowy i wypracujemy rezolucję, która będzie odpowiadać nam wszystkim.

Jeszcze nie skończył mówić, a chłodny powiew przeciągnął przez portyk Białego Domu, zwiastując przyszłość, która – z tego, co dobrze wiedziałam – miała być zupełnie inna.



Portier otworzył drzwi frontowe i wpuścił mnie oraz papę, nie pytając nawet o nasze nazwiska lub zaproszenia, ani nie przeszukując nas, czy nie wnosimy broni.

Papa mówił, że portierzy mają przy sobie ukrytą broń, ale wpuszczają wszystkich. W każdej chwili w korytarzach Białego Domu mogła się znaleźć setka albo i więcej obcych ludzi czekających na audiencję u pana Lincolna. Czasami bywało tak całymi dniami. Niczym niezwykłym był również widok Tada i Williego Lincolnów, młodszych synów prezydenta, którzy szaleli po dużym domu, na dachu albo na dziedzińcu i w sąsiedztwie bez opieki.

Bezpieczeństwo Białego Domu w 1861 roku ogromnie różniło się od tego w 1941 czy 2001.

Zostaliśmy pokierowani przez hol wejściowy do Sali Czerwonej w głębi budynku, jednak zanim tam dotarliśmy, w korytarzu otworzyły się drzwi i pojawili się w nich państwo Lincolnowie. U boku prezydenta stał jakiś mężczyzna, który szybko coś mówił. Abraham Lincoln nachylił się, by lepiej go słyszeć, a gdy potakiwał głową, jego twarz miała poważny wyraz.

Prezydent nie wyróżniał się szczególną urodą, ale był życzliwy i mądry. Znałam go prawie całe życie, bo pozostawał z papą w bliskiej przyjaźni, kiedy pełnili obowiązki w Izbie Reprezentantów stanu Illinois. Jednak za każdym razem, gdy znajdowałam się w jego towarzystwie, nie potrafiłam go nie podziwiać, choć zawsze towarzyszył temu pewien lęk. Serce mi się krajało, bo wiedziałam, że za niecałe cztery lata umrze, i nie mogłam zrobić nic, by to powstrzymać. To jedna z rzeczy, której od dzieciństwa uczyli mnie moi przenoszący się w czasie rodzice, którzy żyli w 1941 roku. Nie wolno mi świadomie zmieniać biegu historii. Gdybym to uczyniła, straciłabym życie w tej epoce.

Prezydent zauważył nas w korytarzu i uniósł głowę, co sprawiło, że stojący obok niego mężczyzna przerwał i również spojrział w naszym kierunku. Skrzyżowałam wzrok z nieznanym. Nigdy wcześniej go nie widziałam. Był nowy w Białym Domu albo przynajmniej nowy dla mnie.

Państwo Lincolnowie przywitali mojego ojca, po czym prezydent skierował swój zmęczony uśmiech w moją stronę.

– Miło znów panienkę widzieć, panno Wakefield – rzekł, ujmując moją dłoń w rękawiczce.

Dygnęłam z szacunkiem.

– I pana, panie prezydencie. – Następnie zwróciłam się w kierunku pani Lincoln i również przed nią dygnęłam.

– Państwo pozwolą, że przedstawię pana Graydona Coopera – zaanonsował prezydent.

Bardzo mocno zdawałam sobie sprawę z obecności pana Coopera, chociaż skupiałam całą uwagę na Lincolnach. Kiedy nasze spojrzenia znów się spotkały, tym razem z bliska, nie potrafiłam powstrzymać podziwu. Miał na sobie elegancki czarny frak, białą kamizelkę i czarne spodnie. Wyglądał na trochę ponad dwadzieścia lat, ale już widać było po nim wyrafinowanie i urok, których brakowało wielu nudnym politykom w Waszyngtonie.

Ciemnobrązowe, falowane i gęste włosy miał przycięte po bokach, a na górze głowy lekko dłuższe. Jednak to jego oczy o głębokim, aksamitnym odcieniu brązu przykuły moją uwagę najbardziej.

– Panie Graydonie Cooper – kontynuował prezydent Lincoln – pozwoli pan, że przedstawię panu senatora Edwarda Wakefielda i jego córkę, pannę Margaret Wakefield.

– Bardzo mi miło. – Pan Cooper ucisnął dłoń ojca, po czym pochylił się nad moją. Mimo że jeszcze przed chwilą pozostawał pogrążony w poważnej rozmowie z prezydentem Stanów Zjednoczonych, teraz w jego oczach błyszczał uśmiech, jakby wiedział coś, o czym nie miałam pojęcia. W jego głosie słychać było miękkiego brytyjski akcent, a jego uścisk okazał się zaskakująco mocny.

– Miło mi – odpowiedziałam, dygnawszy. Czułam ciepło jego dłoni nawet przez nasze rękawiczki. Był ideałem męskiej urody, choć sądząc po pewności siebie, jaka od niego biła, podejrzewałam, że już o tym wiedział.

– Pan Cooper został właśnie mianowany na stanowisko w Departamencie Wojny – wyjaśnił prezydent wyraźnie zadowolony z tego oświadczenia. – Będzie jednym z bliskich współpracowników pana Camerona.

– Jesteśmy bardzo zadowoleni z jego obecności – dodała pani Lincoln ze swoim lokalnym akcentem z Kentucky. Ubrana była w piękną jedwabną suknię w odcieniu różu i miała na głowie misterny stroik. – Pan Cooper jest nowy w Waszyngtonie, więc mam nadzieję, że wy, młodzi, zapoznacie się lepiej dziś wieczorem. – Spoglądała to na mnie, to na pana Coopera z pełnym samozadowolenia uśmiechem. – Posadziłam was obok siebie na kolacji. Mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko.

Nie znałam jej od tej strony, jako swatki, ale dostrzegłam w jej oczach szczególny błysk. Choć nie cieszyła się zbyt dużą popularnością w Waszyngtonie, ja ją lubiłam.

– Bynajmniej – odrzekł pan Cooper, ponownie patrząc mi w oczy.

– Skoro mowa o kolacji... – Pani Lincoln przeszła w stronę drzwi prowadzących do Sali Czerwonej. – Czas powitać gości i zaprosić ich do jadalni. Ja i pan Lincoln byliśmy już spóźnieni, a jeszcze wstrzymaliśmy posiłek. Państwo pozwolą?

– Ja byłem spóźniony? – zapytał pan Lincoln, śmiejąc się. Położył odzianą w rękawiczkę dłoń na koronce zdobiącej rękaw sukni żony. – Może ty i pani Keckley powinnyście zaczynać przygotowania wcześniej.

Pominęła uwagę męża dotyczącą swojej krawcowej i przeszła do Sali Czerwonej. Tam w charakterystycznym dla siebie obcesowym stylu ogłosiła, że wszyscy mają udać się za nią do jadalni.

Pan Cooper podał mi ramię, a w jego oczach wciąż widniał uśmiech.

– Wygląda na to, że zostaliśmy sparowani, panno Wakefield. Skoro mamy siedzieć razem, pozwól panienka, że zaprowadzę panienkę do jadalni?

Dlaczego jego pytanie brzmiało, jakby rzucił mi wyzwanie? I to takie, które pragnęłam przyjąć?

– Pozwolę.

Ujęłam go pod ramię i weszliśmy do Jadalni Państwowej. Z sufitu zwisał ogromny, jarmarczny żyrandol, na stole zaś, na białym obrusie, czekały już nakrycia – najlepsza porcelana i kryształowe kielichy. Środek stołu udekorowano żółtymi kwiatami, które pasowały kolorem do żółtej tapety na ścianie i spłowiałego dywanu. To pomieszczenie, jak większość pozostałych pokoi w Białym Domu, było pełne przeciągów i zaniedbane. W kątach wykwiatała pleśń, a meble pozostawiały wiele do życzenia. Pani Lincoln nieraz ubolewała nad stanem domu i często dzieliła się swoimi planami, by przemienić go w wizytówkę, jaką tak naprawdę powinien stanowić. Jednak wielu malkontentów uważało,

że w obliczu nadchodzącej wojny to zbędne wydatki. To jedna z licznych rzeczy, które sprawiły, że pani Lincoln nie zyskała popularności, nawet wśród mężczyzn i kobiet we własnej partii politycznej.

Pan Cooper wysunął dla mnie krzesło i mu podziękowałam. Miałam wrażenie, że bardzo uważnie mi się przygląda. Z jakiegoś powodu wytrącało mnie to z równowagi, chociaż nie miałam nic do ukrycia... Przynajmniej niezupełnie. Pachniał mocno perfumami, których nie rozpoznawałam, a kiedy przysunął się bliżej, by zająć miejsce, musiałam się opanować, by myśleć o czymś innym niż jego bliskość. Należało zdemaskować szpiegów, a ten przystojny nieznajomy okropnie mnie rozpraszał.

Pani Lincoln czyniła honory podczas posiłku.

– Nie mówmy dziś wieczorem ani słowa o wojnie. – Spojrzała znacząco na męża. – Dziś wieczorem – rzekła – postaramy się zapomnieć o rebeliantach na Południu i o tych spośród nas, którzy wciąż pozostają w tym opuszczonym przez Boga mieście, a zamiast tego będziemy się bawić jak cywilizowani ludzie.

– Dobrze mówi, dobrze – przytaknęło kilku mężczyzn, unosząc kryształowe kielichy.

Przyglądałam się uważnie mężczyznom i kobietom zasiadającym wokół stołu. Zebrało się nas dwadzieścioro. Wszystkie ważne osoby w życiu pana Lincolnna. Czy to możliwe, by jedna z nich była szpiegiem? Tego dało się dowiedzieć tylko, przysłuchując się rozmowom, wyłapując dziwne zachowania i obserwując nietypowe sojusze.

A jednak nikt nie zwrócił mojej uwagi bardziej niż siedzący obok mnie mężczyzna. Nie wznosił kielicha w toaście, tak jak inni, ani nie uśmiechnął się na znak zgody – i to mnie zastanowiło. Jeśli był lojalny względem państwa Lincolnów i służył w Departamencie Wojny, czy nie powinien okazywać takiego

entuzjazmu jak wszyscy? Jego twarz miała neutralny, wręcz wyrachowany wyraz.

Kim był ten człowiek? Skąd pochodził? Prawie każdy w najbliższym kręgu prezydenta Lincolna to ktoś, kogo znałam lub o kim słyszałam przez większość mojego życia. Pan Cooper był dla mnie zupełnie nowy. Nie wspominając już o tym, że to obcokrajowiec.

Postawiono przede mną talerz parującej, pachnącej bazylią zupy pomidorowej, ale nagle straciłam apetyt. Nerwy ścisnęły mi żołądek, gdy zaczęłam się zastanawiać nad lojalnością pana Coopera wobec Unii. Czy stanowił ryzyko dla kraju i prezydenta, którego kochałam?

– Lubi panienka tego typu wydarzenia, panno Wakefield? – zapytał pan Cooper, przerywając moje rozmyślenia.

– Nie mam nic przeciwko. A pan? – zapytałam w odpowiedzi.

Zmrużył oczy z tym samym uśmiechem, jakby bawił go jakiś żart, o którym ja nie miałam pojęcia.

– Wydaje mi się, że to akurat może się okazać całkiem miłe.

– Odnoszę wrażenie, że ma pan rację.

– Rzadko się myślę.

Roześmiałam się w reakcji na jego ostatnią uwagę. Nie umiałam się powstrzymać. Zdawał się całkowicie pewny siebie, choć powiedziałabym, że się ze mną przekomarzał.

Uśmiechnął się razem ze mną.

– Sądzę, że podoba się paniencie pełnienie takich obowiązków społecznych, ale założę się, że wolałaby panienka coś, co miałyby większy sens albo cel. Być może ma panienka jakąś sprawę, za którą chętnie by się panienka opowiedziała, choć może nie byłoby to społecznie akceptowalne.

Jego stwierdzenie mnie zaskoczyło, ale starałam się bardzo, żeby nie dać tego po sobie poznać. Wolałabym studiować medycynę albo leczyć chorych i rannych. Tylko że to praca, którą

wykonywałam w 1941 i w 2001 roku. Tutaj, w 1861, nie miałam jak realizować swojej pasji. Jeszcze nie teraz.

Nie mogłam pozwolić, by wiedział, że ma rację. Łatwiej odpowiedzieć mu żartem i przejąć pałeczkę, zadając własne pytanie.

– Czyżby potrafił pan czytać w myślach, panie Cooper? – zapytałam. – A może należał pan do trupy cyrkowej, zanim dołączył pan do nas w Waszyngtonie?

Ujął srebrną łyżkę i zanurzył ją w zupie, a w jego oczach wciąż błyszczał uśmiech.

– Trupa cyrkowa? Nie. Czytanie w myślach? Być może.

– W takim razie będę musiała uważać, żeby o niczym nie myśleć w pańskiej obecności.

– Szkoda by było. – Potrafił sprawić, że czułam się, jakbyśmy znajdowali się w tym pomieszczeniu sami. – Dostrzegam w panienki oczach wielką inteligencję. Jakby już panienka wiele przeżyła, panno Wakefield. Widzę mądrość ponad panienki wiek. Nie chciałbym, żeby panienka musiała to przede mną ukrywać.

Przyglądaliśmy się sobie dalej i spoważniałam. Czyżby potrafił dostrzec w moich oczach prawdę? Rzeczywiście wiele już przeżyłam. Dokładnie rzecz biorąc, to ponad sześćdziesiąt lat w trzech różnych epokach, gdzie nabierałam mądrości i wiedzy. Miałam trzy różne ciała, ale jeden świadomy umysł. Wyglądałam tak samo w każdej epoce, miałam dwadzieścia lat, a to, co przydarzało mi się w jednym czasie, nie wpływało na mnie fizycznie w pozostałych epokach. Jeśli w jednej z nich chorowałam na odrę, w innych byłam zdrowa. Gdybym złamała kość w jednej, moje kości w dwóch innych epokach pozostałyby całkowicie zdrowe. Jedyne, co się nie zmieniało, to mój umysł – gromadzący wspomnienia, informacje i wiedzę z każdej epoki.

Czyżby pan Cooper naprawdę potrafił to wszystko dostrzec, po prostu patrząc mi w oczy?

To niemożliwe, a jednak sposób, w jaki mi się teraz przyglądał, tak jakby mógł zajrzeć w głąb mojej duszy, sprawiał, że żołądek podchodził mi do gardła, a policzki oblały się ciepłem.

– Czyżbym przyprowadził panienkę o zdenerwowanie? – zapytał, po czym opuścił łyżkę do talerza, wciąż mnie obserwując i oceniając.

Przybrałam wyuczony uśmiech, który doskonale wyćwiczyłam podczas kampanii z ojcem. Musiałam zamaskować prawdziwe uczucia.

– Ja jestem całkowicie spokojna.

– Kłamie panienka. – Uśmiechnął się i przełknął kolejną porcję zupy, po czym znów zanurzył w niej łyżkę. – Ale to bez znaczenia. Ja i tak odkryję panienki sekrety.

– A ja pańskie.

– Co sprawia, że sądzi panienka, iż mam takowe?

– Każdy ma sekrety, panie Cooper.

Pokiwał głową i uniósł kielich w toaście.

– W takim razie zobaczymy, kto pierwszy odkryje sekrety drugiej osoby. Niech wygra najlepszy... lub najlepsza.

Podniosłam swój kielich i skinęłam głową. Czułam wypełniającą mnie ekscytację i energię.

To będzie zabawne, choć może się też okazać bardzo niebezpieczne.